

Jan Maciejewski: Grudzień. Latarnik [OPOWIADANIE]

Kto rozumie grudzień? Na pewno stary świat, który pozbawiony centralnego ogrzewania i elektryczności, otaczał w tym miesiącu ciasnym kręgiem paleniska i piece. Także wewnętrznym płomieniom trzeba w tym miesiącu poświęcić więcej uwagi niż w jakimkolwiek innym momencie. Dlatego stary świat spędzał grudzień grając – pisze Jan Maciejewski.

Ten miesiąc to święta, ale dopiero w ostatnich jego dniach. Żeby do nich dotrzeć, trzeba przejść przez Wielki Mrok. Najkrótsze dni i najdłuższe noce. Rozświetlane wątlami promykami lampionów i roratnich świeczek. Boże Narodzenie rozbłyskuje tak jasnym płomieniem tylko dlatego, że następuje w najgłębszej ciemności.

Nie potrafię pogodzić się z kościelną definicją adwentu jako czasu „radosnego oczekiwania”. Wydaje mi się ona nieuprawnioną koncesją na rzecz ducha tego świata. Fałszywego ducha święt, krasnali podszywających się pod świętych, sklepowych neonów udających betlejemską gwiazdę. Advent to czas, w którym radość w sercach kurczy się jeszcze szybciej niż dzień za oknem. Okres wielkiej trwogi, w którym odżywają dziecięce lęki i powracają stare nałogi.

Już po południu ciemność zaczyna dyktować swoje warunki. Nawet pływające po Wiśle łabędzie wydają się czarne. A każdy z nich jakby zwiastował jakieś inne, niespodziewane nieszczęście. Co z tego, że na tafli rzeki odbijają się światła sklepów i latarnianych, świątecznych ozdób. To tylko kontrapunkty mrocznej, grudniowej melodii. Rozwijają jej temat, ale ten brzmi przez to jeszcze wyraźniej, więcej ma nam do powiedzenia. I choćbyś zatkał uszy, po powrocie do domu włączył wszystkie lampy, nie przestaniesz go słyszeć. Grudzień to noc ciemna roku. I właśnie dlatego chrześcijaństwo rozpoznało go przed wiekami jako najwłaściwszy moment na obchody najradośniejszego ze swych świąt. Zbieramy się pod jednym dachem, zjeżdżamy z różnych stron świata, żeby łatwiej było przetrwać tę nieukojoną niczym ciemność. I fakt, że Zbawiciel akurat teraz postanawia przyjść na świat mówi wszystko, co powinniśmy wiedzieć o tej Jego decyzji. Że niczym na nią nie zasłużyliśmy. I że światło, którym jest, świeci w egipskiej ciemności, niewoli naszych serc i zmysłów.

Kto rozumie grudzień? Na pewno stary świat, który pozbawiony centralnego ogrzewania i elektryczności, otaczał w tym miesiącu ciasnym kręgiem paleniska i piece. „Dla ochrony przed ciemnością i zimnem szczególnie ważne było dbanie o to, by nie zagasł płomień. Ogień odstrasza zimę” pisze w książce „Stary wspaniały świat” Tom Hodgkinson. Także wewnętrznym płomieniom trzeba w tym miesiącu poświęcić więcej uwagi niż w jakimkolwiek innym momencie. Dlatego stary świat spędzał grudzień grając. Przystępował do zabawy z całą należną jej powagą. Grał w stare gry uważnie i zaciekle. Obmyślał zasady nowych z gorliwą skrupulatnością. A reguł ich wszystkich przestrzegał tak, jak powinno się strzec prawd wiary. Bo gra jest świętem, a więc i świętością. Bierze w nawias prawa i obowiązki wobec świata. Jej czar pryska, kiedy tylko rzeczywistość zaczyna się doń

wtrącać. Gdy górę nad świętością reguły biorą pycha i ambicja, kompleksy i zachłanność. Jeśli grasz, to godzisz się na możliwość porażki.

Kto jeszcze odważył się pojąć coś z tego miesiąca? Pewnie Schubert, wybrałszy się w „Podróż zimową”. Jak na najbardziej tragicznego z romantyków przystało – zgubił szlak zaraz po przekroczeniu progu. I śpiewa tak pięknie, że od dwustu lat nikt nie ma odwagi mu przerwać. My słuchamy, on błądzi, brnąc w śniegu i ciemności. Milczymy, aby tylko on nie przestał nawoływać.

I jeszcze kardynał Newman. Autor modlitwy, która płynie przez grudzień sama z siebie, bez naszej woli ani udziału. Nie tyle można ją odmawiać, co należy usłyszeć. To ten miesiąc ją nuci. Tak modli się, wbrew rozsądkowi i nadziei, dogorywający zimą świat:

Prowadź mnie, Światło,
swą błogą opieką,
Światło odwieczne!
Noc mroczna, dom mój
tak bardzo daleko,
Więc Ty mnie prowadź.
Nie proszę rajów
odległych widoku,
Starczy promyczek dla
jednego kroku.

Nie zawsze tak się modliłem
jak teraz,
Światło odwieczne.
Sam chciałem widzieć,
sam chciałem wybierać
Swą własną drogę.
Pomimo trwogi łaknąłem
barw świata
Ufny w swą siłę.
Przebacz tamte lata.

Tyś zawsze trwało,
gdym przez głuchą ciemność,
Przez bór, pustynię
Błąkał się dumny.
O, czuwaj nade mną,
Aż mrok przeminie,
Aż świt odsłoni
te drogie postaci,
Którem ukochał niegdyś,
którem stracił.

Grudzień. Latarnik

W mrozy rolnicy zyskiem radują się społem

Wergiliusz, „Georgiki”

Teraz, gdy mamy zamiar przyjrzeć mu się bliżej, nikt już o nim nie pamięta. Minęło piętnaście lat, od kiedy wyrzekł się roli, do jakiej był przygotowywany od urodzenia. I tak jak bywa z aktorami, którzy rzucają posadę w teatrze i rozpoczynają życie po życiu, z dala od spojrzeń, oklasków i buczenia widowni – rozmawiano o jego postępkach z podnieceniem, ale tylko przez krótką chwilę. Bardzo szybko zapełniono miejsce, jakie po sobie zostawił. Z początku w aurze skandalu i niedowierzania, ale z biegiem czasu już tylko z tą drobnomieszczańską gorliwością, jaka nie znosi odstępstwa od normy.

Jego decyzja była meteorytem, który spadł pewnej nocy na środek rynku. Huk wyrwał ze snu mieszkańców tego prowincjonalnego miasteczka. Nikt z nich nie miał odwagi, żeby wyjść z domu i sprawdzić co się stało, dopóki nie wzeszło słońce. Rano zaczęli gromadzić się wokół pochodzącej z odległych zakątków wszechświata skały. Oglądali ją jak coś niebezpiecznego, bali się dotknąć, by nie zaraziła ich tajemnicza choroba, nie uderzył z opóźnieniem pęd, który kazał mu tu przybyć. Ale przerażenie, poczucie zagrożenia szybko zmieniło się w ciekawostkę. Ten specyficzny rodzaj dumy, biorącej się z faktu, że to właśnie my zostaliśmy wybrani na świadków cudu albo zbrodni. To obok nas doszło do zdarzenia, jakiego zaoszczędzono mieszkańcom tysiąca podobnych, niczym szczególnym nie wyróżniających się miast. Prowincja nie potrzebuje jednak wiele czasu, żeby obłaskawić każde szaleństwo losu. Uspokoić się, przyzwyczaić, oprzeć o meteoryt jak o drzewo, albo nawet przysiąc na nim w ciepłe, wiosenne przedpołudnie. A może to wszystko tylko nam się zdawało? Pewnie jacyś żartownisie ustawili tu ten kamień i wmówili wszystkim, że spadł z nieba. Takie rzeczy się przecież nie zdarzają.

A jednak. Pewnej nocy najbogatszy obywatel miasta, członek rady miejskiej, dyrektor fabryki porcelany, zniknął bez śladu. Nie został, wbrew pierwszym pogłoskom, zamordowany. Okazało się, że swe zniknięcie planował od roku, był jednak na tyle ostrożny, że udało mu się zachować je w tajemnicy. Meteoryt, którego huk obiegł całą okolicę, wyruszył w swą podróż jesiennego wieczoru, gdy dyrektor fabryki, zgodnie ze swoim zwyczajem, oddawał się lekturze działu o osobliwościach ze świata w miejscowej gazecie. Przeczytał tam krótki reportaż o pewnym szaleńcu z Francji, który ogłosił się królem Araukanii i Patagonii. Sprzedał swój majątek, sporządził herb królestwa, które istniało tylko w jego głowie i ruszył na drugi koniec świata. Stanął na czele Indian, poprowadził ich do wojny wyzwolenczej, wygrał nawet kilka bitew, ale pomoc, na jaką liczył ze strony Napoleona III, nigdy nie nadeszła. Jego poddani zdradzili go i wrócili do swoich spraw, a on dostał się do niewoli chilijskich władz. Sen nie trwał długo, przebudzenie było nawet bardziej groteskowe niż tragiczne, ale dla dyrektora fabryki nie miało to już najmniejszego znaczenia. Usłyszał wreszcie wezwanie, na jakie czekał od urodzenia. Rozkaz został wydany. Nie zamierzał się ociągać z jego wykonaniem.

Miał wtedy czterdzieści lat i był wygłodniały. Spragniony czegoś, co musiało się ukrywać daleko stąd. Nie wiedział jednak, w jakim kierunku wyruszyć, trwał więc na swoim posterunku, czekając na sygnał. Wypełniał czas nauką i obowiązkami. Był we wszystkim pilny, ale nigdy gorliwy. Wobec rodziców, dopóki żyli, grzeczny i uczynny. W stosunku do kobiet bywał zapalczywy i zazdrosny, ale nigdy nie rozbłysła w nim choćby iskra namiętności. Spodziewał się, że któraś z nich może mu ofiarować choćby przedsmak tego, co mogłoby zaspokoić jego głód. Zanurzał dłonie w ich włosach, jakby próbował odnaleźć ukryty w nich skarb. Obejmował ich talię, tak jak marynarze chwytają się masztu

podczas sztormu. Ziemia bowiem nie przestawała kołysać się pod jego stopami. A one były oddane i uległe, kochające i cierpliwe. Żadna z nich nie była jednak w stanie zbyt długo znieść jego spojrzenia. Wbijał je w ich twarze, próbując zobaczyć w nich coś więcej. Obietnicę niebezpieczeństwa i przygody; daleki, niezbadany ląd, do którego zabiorą go na statkach swych ciał. Nie próbował ich zatrzymywać, gdy odchodziły, nie wytrzymując jego uporczywego rozczarowania. Wygasającego w oczach blasku, kiedy budząc się obok nich, docierało do niego, że zamiast na końcu świata znajduje się w hotelowym pokoju.

Może byłby dla niego ratunek, odnalazłby miejsce i spokój, gdyby poznał swój gatunek sztuki. Był jednym z tych rzadkich przypadków prawdziwego artysty – bezinteresownym i gotowym na każde poświęcenie. Obojętny na to, czy świat zrozumie cokolwiek z rzeczy, jakie ma mu do powiedzenia. Znał wagę pożerającej go od środka treści, uznanie i poklask nie były mu do niczego potrzebne. Miał wszystko, poza gatunkiem. Spędzał więc czas w fabryce i na wypełnianiu publicznych obowiązków. Odwzajemniał wyrazy szacunku, jakie ofiarowywał mu jego mały świat. Korzystał z przywilejów swojego stanu, urodzenia i majątku. A po zmierzchu, kiedy gasły światła, do snu ukołysać go była tylko w stanie myśl o samobójstwie.

Aż do chwili, kiedy w jego głowie rozbłysło z mocą zaklęcia to słowo. Patagonia. Koniec świata, rozkaz i obietnica. Gazeta zsunęła mu się z kolan. Po chwili dotarło do niego, że bezmyślnie bawi się lampą naftową. Ruchy jego palców to przygaszały, to znów kazały rozbłysnąć tłuścioemu się w niej płomieniowi.

Zaczął szukać kupca domu i fabryki, obmyślając jednocześnie plan ucieczki. Po całą potrzebną literaturę wybrał się na wszelki wypadek do oddalonego o kilkadziesiąt kilometrów miasta. Nie chciał wzbudzać podejrzeń. Narazić się na konieczność tłumaczenia tego, czego nie da się wyrazić słowami. Od tamtego wieczoru myślał już w innym języku niż ten, który rozbrzmiewał dookoła. Przywiózł ze sobą całą dostępną na temat jego ziemi obiecaną wiedzę. A po pierwszym zakłęciu rozbrzmiewały kolejne. Ziemia Ognista. Czy mogły tam żyć smoki? Albo olbrzymy, czy jeszcze tam się jakieś ostały? Pierwsi eksploratorzy Patagonii twierdzili, że jej mieszkańcy mierzyli po trzy metry. Teraz już pewnie skurczyli się z naszej winy, pijani pędzonym przez nas alkoholem, trawieni przywleczonymi przez Europejczyków chorobami. Ale może chociaż w ich twarzach zostało coś z tamtej dzikości. Ale nie, nie myślmy zbyt wiele o Patagończykach. Nie dla nich tam wyruszy. Kartkował atlasy i śledził mapy w poszukiwaniu końca świata. Tego fragmentu lądu, gdzie musiał zakończyć swoją wędrówkę Homo Sapiens. Człowiek pierwotny, tego również zdążył się dowiedzieć podczas gorączkowych przygotowań dyrektor fabryki porcelany, wyruszył z Afryki, przeszedł Bliski Wschód, Azję, północną Amerykę, aż wreszcie dotarł do ziemi ognia. Dalej nie było już dokąd iść. Tu Andy wpadają do morza, a ten, kto nie chce podzielić ich losu musi się zatrzymać. Na myśl o tym, co musiał czuć jego daleki przodek w chwili, gdy dotarło do niego, że właśnie zakończył swą wędrówkę, zapłakał. To tam po raz pierwszy zdradzony został człowiek. Tam dotarło do nas, że ziemia to tylko ziemia, a my byliśmy już wszędzie. Tam skończyło się coś więcej niż świat. U brzegu ognistej ziemi zgasło wielkie marzenie. Od tamtej chwili zaczęliśmy na siebie uważać. Budować domy i gromadzić oszczędności. Nie było nic nowego do znalezienia, zaczęliśmy więc troszczyć się o to, co już mamy.

Nikt nigdy nie był mu tak bliski jak tamten dzikus. Od czterdziestu lat czuł to samo: że nie ma już dokąd iść. Pojedzie tam, by się upewnić. Dotrze na miejsce zbrodni jakiej świat dokonał na ludzkiej duszy. Sprawdzi, czy koniec świata aby na pewno był ostateczny.

Samej Patagonii było mu za mało. Była tylko gruntem położonym na płótnie. Jako prawdziwy artysta wiedział, że o losach dzieła sztuki zdecyduje dopiero konkret. Tylko on może być ostrzem treści, przebić się na drugą stronę. Czekał cierpliwie, wiedział, że odpowiedź przyjdzie w swoim czasie. I jak zawsze w takich przypadkach, okazało się, że była przy nim od samego początku. To ona czekała, aż wyciągnie po nią rękę. Złapie jak maszt statku na wzburzonym morzu. I uniesie w górę, by stało się światło. Patagonia wzywała go do siebie, bo chciała, żeby zamieszkał w latarni, jaką dla niego przyszykowała.

Stała na brzegu morza, w miejscu, gdzie zatrzymał się w swej wędrówce człowiek. Opuszczona, nieczynna, niepotrzebna już od jakiegoś czasu marynarzom, zastąpiona przez bardziej nowoczesną, dogodniej umiejscowioną. Czekala już tylko na niego. Sprzedał wszystko co miał, majątek schował do podróżnego kufra i pewnej nocy, tuż nad ranem, gdy jest najciemniej i najciszej, uciekł z domu. Od tej chwili on i latarnia należeli do siebie.

To, co działo się potem, pomiędzy chwilą, gdy opuścił swoje miasto i wyruszył na koniec świata a momentem, w którym go spotykamy, nie należy do tej opowieści. On sam nie widziałby powodu, dla którego mielibyśmy poznawać techniczne szczegóły całego przedsięwzięcia. Wspomnijmy więc tylko, że podróż statkiem zniósł bardzo źle, choroba morską niemal doprowadziło go do obłądu. Wsiadł na patagońskim łądzie kilkanaście kilogramów chudszy, niż kiedy wsiadał na statek. W urzędzie morskim przyjęto jego propozycję kupna nieczynnej latarni bez specjalnego zaskoczenia. Pewnie nie był pierwszym Europejczykiem, którego przygnało tu szaleństwo. W nieistniejącym królestwie Patagonii i Araukanii obłąd, zwłaszcza gdy przyplływał ze starego świata, stanowił normę. Nikt nie starał się tam odwozić dziwaków od ich pomysłów. Czuwano tylko nad tym, by uczciwie się z nimi rozliczyć.

Nie poczuł podniecenia, ulgi ani rozczarowania, kiedy spod stóp latarni morskiej ujrzał po raz pierwszy kamieniste, schodzące łagodnie do morza wybrzeże. Pomyślał tylko, że skalna wychodnia wygląda jak łuski na grzbiecie smoka. Jego nowy dom dzieliło od najbliższej osady trzydzieści kilometrów. Akurat tyle, by wyjść przed świtem i wrócić po zmroku, gdy zabraknie nafty, jedzenia, drewna, czy czegokolwiek co nie było skałą, słońcą wodą lub wiatrem.

Co działo się z nim przez ten czas? Ci, których opuścił zapewne orzekliby, że oszalał. Nawet jeśli nie w chwili wyjazdu, to potem, w ciągu lat wypełnionych po brzegi samotnością, nieustającymi odgłosami wiatru i morza. Ale on przeciwnie, z każdym dniem trzeźwiał. Zrzucał z siebie kolejne łuski, wyzbywał się złudzeń i zastępczych pragnień. Takich, których spełnienie może przynieść

chwilową ulgę, odwrócić wzrok od celu, gdy zacznie się on wydawać nieosiągalny. Tu, gdzie teraz żyje nie ma gdzie odwrócić wzroku, nie istnieje więc obawa, że zabłądzi, zboczy z raz obranej trasy. Przed nim jest morze, za jego plecami – ląd bez kresu ani żywej duszy. Pozostaje mu tylko czekać. Tak jak robił to wcześniej, zanim usłyszał wezwanie. Tylko, że teraz jest już spokojny. Ma swoje zadanie, choć wciąż go nie rozumie.

Co noc zapala latarnię, ponieważ to także należy do zadania. Czasami w jej blasku widzi przepływające nieopodal statki. Światło jest dla nich co najwyżej pozdrowieniem, mrugnięciem skalnego potwora. Nie zamierzają zbliżyć się do brzegu. Wystająca z oceanu skała od zawsze odstraszała tych, którzy zapuścili się na koniec świata. Mijali ją Magellan, Drake, Cavendish czy Darwin, ale żaden nie odważył się postawić tu swej stopy. Ich rejsy były próbą oszukania końca świata, dostarczenia światu i ludziom dowodu, że nasza podróż się nie skończyła. Chcieli przechytryć to miejsce, które dla dawnego dyrektora fabryki porcelany jest posterunkiem. On chce je zrozumieć, im zależało tylko, żeby go uniknąć. I dopięli swego, ale za jaką cenę? Tak naprawdę każdy z nich wpadał w tę samą pułapkę. Zamiast iść dalej, kręcili się w kółko. Co przywozili z tych podróży? Czy któraś z nich powiększyła świat chociaż o centymetr? Po zawinięciu do portów wyładowywali na ląd skarby, egzemplarze nieznanymi zwierząt i roślin. Przywozili wiedzę o nowych lądach i powstawaniu gatunków, także naszego. Ale wszystko to utwierdzić mogło tylko w przekonaniu, że nie ma już dokąd iść.

Po zmroku zaczyna się właściwa część jego zadania, dzień jest tylko przygotowaniem do nocy. Codziennie wyrusza w tę samą podróż, pokonuje najpierw sto piętnaście stopni prowadzących do podstawy

wieży, a potem kolejne dziewięćdziesiąt, by dostać się do światła. Zabiera ze sobą termos z kawą, fajkę i czuwa, czekając na dalsze instrukcje.

Jest popołudnie, piętnastego roku jego samotności. Nie dokłada już do żelaznego pieca, pozwala dogasać płomieniom. Za chwilę, godzinę najwyżej dwie, uda się w tę samą co zawsze podróż. Nie pamięta już nic ze świata, który opuścił. Tamto życie wydaje się snem, ani marzeniem ani też koszmarem, po prostu złudzeniem. Do plecaka pakuje zapas tytoniu i ciepły koc – o tej porze roku noce na końcu świata bywają chłodne. Nie zauważył jeszcze, że drzwi za jego plecami się uchyliły. Stoi w nich mężczyzna o twarzy, którą pozna, gdy tylko na nią spojrzy. Nie przestraszy się, dawno już przestał się czegokolwiek bać. A przybysza kojarzy z miasteczka, w którym uzupełnia zapasy.

Siedział zawsze w tym samym miejscu, nigdy samotnie. Jest jednym z przedstawicieli tego sympatycznego odłamu zakonu żebraków, który nie prosi o litość, tylko oferuje zabawę. Nie wyciąga ręki po pieniądze, lecz wygrywa je w uczciwych zawodach. Każdego rana rozkłada przed sobą szachownicę i pokonuje kolejnych przechodniów w grze w warcaby. A kiedy ich żony lub rodzice tracą cierpliwość, bo okazuje się zbyt zachłanny, zapomina raz na jakiś czas dać się odegrać swoim przeciwnikom i chwilowo wypada z łask społeczności, wyrusza w wędrówkę do sąsiednich miast i wsi. Pozwala za sobą zatęsknić, przypomina miasteczku, że jest mu potrzebny niemniej niż lekarz czy

ksiądz. Podczas jego nieobecności mieszkańcy robią się kłótlivi i poddenerwowani. I może nawet nie kojarzą tej zależności, ale kiedy wraca po kilku tygodniach lub miesiącach jest witany z ulgą.

Pewnie znowu przesadził, gracz wziął w nim górę nad żebrakiem i sprowadził na siebie ludzką złość. Dlatego teraz rozsiada się w kącie domku latarnika. Bez słowa, bo jakiego by nie wymówił i tak by się nie porozumieli. Gra mówi sama za siebie. Latarnik wygląda przez okno. Ma jeszcze trochę czasu. Jeżeli zagra partię lub dwie zdąży dotrzeć na miejsce przed zmrokiem.

Nie zdąży, gdyż jest godnym przeciwnikiem. Średnio na dwie przegrane partię przypada jedno zwycięstwo. Żebrak drapie się po głowie i patrzy z uznaniem. A on zamiast latarni zapala lampę naftową i wznieca ogień w piecu. Nigdy nie jest się do końca człowiekiem, jeśli nie odkryje się w sobie szaleństwa hazardzisty. Ryzyka utraty dobrego imienia, majątku, może nawet życia w zamian za krótką chwilę maksymalnego napięcia, w której waży się los. W tej chwili dawny dyrektor fabryki porcelany, obecnie w randze latarnika, wie, że wypełnia kolejną część zadania.

Nad ranem żebrak daje znak. Wystarczy na dziś. Może kiedyś jeszcze przyjdzie z nim zagrać. A może jest za dobrym graczem by opłacało się iść do niego przez tak wiele godzin. Tak czy inaczej, wydaje się, że załatwił już swoją sprawę z latarnikiem. Ale o nim samym nie można tego powiedzieć. Łapie żebraka za rękaw i pokazuje mu latarnię. Czy był kiedyś tak wysoko? Czy spojrzął już z góry na koniec świata?

U kresu nocy wspinają się na górę. Milcząc, bo nawet gdyby znali jakiś wspólny język, nie byłoby nic do powiedzenia. Ich sytuacja jest absolutnie jasna. Dzieci również nie rozwodzą się nad zamiarem wspinaczki na drzewo. Po prostu, jedno z nich daje znak, a pozostałe są posłuszne. Nie ma o czym rozmawiać, trzeba działać.

Nad pustkowiem właśnie wstaje słońce, a oni docierają wreszcie na szczyt. Zmęczeni nieprzespaną nocą i przebytą drogą, z trudem łapią oddech. Mrużą oczy. W tym miejscu nie ma jak się ukryć przed blaskiem słońca. Odwracają się do niego plecami, przed nimi jest morze i koniec świata.

Latarnik zaczyna mówić. Pierwszy raz od piętnastu lat i ostatni w życiu. Opowiada o smokach i olbrzymach. Ogniu wybuchającym spod ziemi i głazach spadających z nieba. O skarbach ukrytych we włosach księżniczek i śnieżnobiałych, latających spodkach. Z każdym słowem przypomina sobie kolejne. Żebrak kiwa głową, opowieść wpada do morza. Tam, gdzie kończy się świat.

Jan Maciejewski



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030

